



## Mirosław Derecki

### OSTATNIA WALKA 27 DYWIZJI AK

Leon Karłowicz do dziś pamięta doskonale tę noc z 22 na 23 lipca 1944 r., gdy z batalionem por. „Jastrzębia” maszerował z Firleja w stronę Lubartowa, który miały zdobywać wysłane tam poprzedniego dnia oddziały por. „Bratka” i por. „Buras”, ale do tej pory dowództwo Dywizji nie miało o nich żadnej wieści.

21 lipca do 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK (stacjonującej po przedarciu się z niemieckiego okrążenia w lasach parczewskich w rejonie Firleja) przybył łącznik z komendy obwodu lubartowskiego Armii Krajowej z prośbą o wsparcie miejscowych oddziałów w działaniach mających na celu wyzwolenie Lubartowa. Rozpoczęła się akcja „Burza”. Mjr „Kowal” (Jan Szatowski) skierował do Lubartowa właśnie batalion „Bratka” i kompanię „Buras” z batalionu kpt. „Hrubego”.

Leon Karłowicz miał wówczas osiemnaście lat, nosił pseudonim „Rydz” i od roku walczył w oddziałach partyzanckich. Z konspiracją na rodzinnym Wołyniu był związany już znacznie wcześniej. Od miesięcy tkwił w masie żołnierskiej Dywizji, spoglądając na to co się działo wokół, z pozycji starszego strzelca? Był jednym z tych, którzy wykonują rozkazy przełożonych. Ale też właśnie dlatego jego wspomnienia, które spisał w czterdzieści lat później, są szczególnie interesujące: ukazują życie 27 Dywizji AK widziane oczyma zwykłego żołnierza.

A więc ów nocny marsz na Lubartów, w kompletnych ciemnościach, nocą z 22 na 23 lipca. Zdenerwowanie: co się dzieje z kolegami z oddziałów „Buras” i „Bratka”? Tuż przed świtem zaczął siąpić deszcz. Nagle na wysokości mijanego niewielkiego lasu meldunek od czujki: „Niemcy”!

Ruszyli tyralierą przez zboża. Silny ogień niemieckiej broni maszynowej z naprzeciwka. Polskie „Hurra”! Potem - ciemno sylwetki uciekających przez łąny żyta Niemców. Krzyki ich rannych, dochodzące gdzieś z prawej strony... Mundur coraz bardziej mokry od deszczu i od nabrzmiałych wilgocią kłosów. Jakiś niemiecki żołnierz podnosi rękę do góry, oddaje karabin. I już niedaleko - majaczące w pierwszym brzasku zabudowania lubartowskiego przedmieścia Zagrody. A przed nimi - wiadukt nad torem kolejowym. I wychodzący z ukrycia żołnierze z kompanii por. „Buras”, którzy mówią, że Lubartów już

wolny. Ludzie „Jastrzębia” przekazują im wziętych do niewoli kilkunastu niemieckich jeńców. Może ci Niemcy to część załogi zdobytego niedawno, niedaleko stąd, przez partyzantów pociągu ze sprzętem sanitarnym?

Robi się widno. Sformowany w czwórki batalion „Jastrzębia” (por. Władysława Czermińskiego) maszeruje w stronę centrum Lubartowa. Po obu stronach ulicy Słowackiego setki ludzi. Panienki rzucają kwiaty. Mężczyźni częstują papierosami. Powietrze trzęsie się od okrzyków, wiwatów, śpiewów...

To było ogromne przeżycie. Po roku leśnej tułaczki Leon Karłowicz po raz pierwszy zobaczył miasto! Miasto, które tego dnia wydawało się podobne jota w jotę do pozostawionego daleko na Wołyniu, ukochanego Kowal! Batalion „Jastrzębia” szedł teraz ulicą Lubelska w kierunku kościoła oo. Kapucynów. Nie dochodząc do klasztoru, skręcił w prawo, w ulicę Legionów. Wznosił się przy niej wielki, dwupiętrowy, nowoczesny gmach szkoły powszechnej, podczas okupacji służący Niemcom za koszarę i za szpitali wojskowy. Wejścia na obszerny dziedziniec przed szkołą strzegły uzbrojone posterunki. Mieściło się tu Dowództwo Obwodu AK. W wolnych salach mieli się także zakwaterować żołnierze z oddziałów 27 Dywizji. Batalion „Jastrzębia” umieszczono na pierwszym piętrze. Mieli tu podobno zostać kilka dni, aby dobrze wypocząć przed dalszymi walkami „gdzieś nad Wisłą”. Dostali obfite śniadanie. Porozciągali się na ponemieckich łózkach polowych, czekając na obiad.

Do Lubartowa wchodziły od strony Firleja dalsze oddziały 27 Dywizji: kompanie batalionu „Gzysa” z towarzyszącym im mjr. „Kowalem”. Ludzie „Gzysa” po drodze do Lubartowa natknęli się na wysokości Woli Lisowskiej na niemiecką kolumnę samochodową jadącą od strony miasta. Szybka akcja doprowadziła do zdobycia sześciu aut. W walce padło wielu Niemców.

Lubartów był biało-czerwony od zwisających z okien i z dachów chorągwi. Deszcz zacinał. Ustępowała spowijająca miasto od rana gęsta mgła. Wychodziło słońce. Była niedziela, 23 lipca 1944 r.

#### Wyzwolenie Lubartowa

Lubartów został wyzwolony w sobotę 22 lipca. Około godziny 13 zawyła syrena w remizie Ochotniczej Straty Pożarnej. W kilka minut później przemaszerował od Rynku przez ul. Legionów (obecnie ul. 25 Października) kilkunastoosobowy oddziałek mężczyzn z biało-czerwonymi opaskami na rękawach i z karabinami w dłoni. Niektórzy z nich mieli na głowach strażackie hełmy. Byli to żołnierze AK należący do miejscowej straży pożarnej. Oddział skierował się do opuszczanej przez Niemców szkoły powszechnej.

Miasto było dziwnie ciche i spokojne po huku i zgiełku dwóch ostatnich dni, kiedy przewalały się tędy nieskończone kolumny samochodów z wojskiem, zdążając od Lublina w

stronę Michowa, skąd było połączenie z szosą warszawską. Wyjeżdżała z Lubartowa miejscowa żandarmeria i gestapo, ewakuowały się ostatnie niemieckie urzędy; zarekwirowano piękny, ciemnozielony samochód - dumę strażaków; po ulicach biegał zrozpaczony, oglupiały „Grajf”, groźny do niedawna wilczur znanego żandarma, który uciekając pozostawił psa własnemu losowi.

Wczesnym popołudniem 22 lipca ludzie zaczęli wychodzić z domów. Pojawiły się pierwsze biało-czerwone flagi. Przed szkołą, gdzie na posterunku tkwił z karabinem w dłoni znany całemu miastu kierowca strażackiego samochodu i zarazem mechanik od motopompy, zbierał się coraz to potężniejszy tłum. Tymczasem miejscowe oddziały Armii Krajowej obsadzały kolejne ponemieckie obiekty. Komendant Obwodu Lubartów, por. Roman Jezior (ps. „Okoń”), stanął wraz ze sztabem w budynku szkoły. Oczekiwano na przybycie pierwszych oddziałów 27 Dywizji AK spod Firleja.

Meldunek dzienny z realizacji planu „Burza” w Inspektoracie Rejonowym „Lublin” z 22 lipca 1944 r. stwierdza m.in.:

Na terenie m. Lubartowa akcja przeciw Niemcom rozpoczęto się a godz. 13.2-. Ob. Żbik ze swoim plutonem zajmuje koszary i inne obiekty wojskowe i przejmuje broń pozostawioną przez posterunek niemiecki na moście kolejowym na rzece Wieprz. O godz. 17.00 przy współdziałaniu jednej kompanii 27 dp, wypierając nieprzyjaciela, obsadzają dworzec kolejowy. O godz. 19.00 na przejeździe kolejowym Lubartów-Michów pluton ob. kpr. Klomba z Lisowa, łącznie z kompanią 27 otoczył i zdobył pociąg sanitarny ze zmotoryzowanym sprzętem. W międzyczasie na innym odcinku zlikwidowano 2 Niemców, a 4 wzięto do niewoli. O godz. 21.00 pluton ob. ppor. Lekarza, uzupełniony ze stanów plutonu ob. sierż. Adama z Annoboru, odparł atak ogniowy nieprzyjaciela w rejonie Lubartów-Annobór. O godz. 22.00 Pluton ob. Lekarza wkroczył do m. Lubartowa, gdzie jego patrol pod dowództwem ob. kpr. Kruka rozbroił 3 Niemców, zdobywając km. wzór 42, i 2 kb.

#### Zdobycie pociągu

Punktem kulminacyjnym akcji „Burza” w Lubartowie było właśnie zdobycie niemieckiego pociągu ze sprzętem sanitarnym.

Rzecz ciekawa, że o zdobyciu owego pociągu pisze się stosunkowo najmniej i mało dokładnie w literaturze wspomnieniowej dotyczącej ówczesnych wydarzeń. A i w pracach historycznych można znaleźć błędne wiadomości. Nawet niezwykle skrupulatny Michał Fijałka, autor książki „27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK” („PAX”, Warszawa, 1986), zresztą dowódca jednego z batalionów Dywizji, walczący wówczas w rejonie Firleja – Kooka ( w samej akcji na Lubartów nie brał udziału), pisze, iż:

*Wspólnie, ( z miejscowymi oddziałami AK – przyp .MD) toczono walki o pociąg, który rano (?- przy. MD), 22 lipca nadjechał z kierunku Parczewa i przed wjazdem na*

*stację został zatrzymany(?- przyp. MD) i ostrzelany przez por. „Burasę” i ppor. „Jaszczurę”. [...] Pociąg niemiecki pozostał przed stacją (? - przyp. MD) z dużą ilością broni, amunicji, żywności, koców, leków itp.*

Ireneusz Caban i Zygmunt Mańkowski w swej dwutomowej pracy „Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Okręgu Lubelskim 1939-1944” (Lublin 1971) stwierdzają podobnie (T. I, str. 180), że oddziały 27 Dywizji AK „wspólnie z miejscową kompanią uderzyły na stację kolejową, gdzie opanowały po walce pociąg sanitarny, wypierając 70-osobowy oddział niemiecki”.

Tymczasem wydarzenia te wyglądały inaczej.

Oto gdzieś pomiędzy godz. 16.00 a 17.00 w rejonie szkoły podstawowej i klasztoru oo. Kapucynów pojawili się pierwsi żołnierze 27 Dywizji AK. Pytali o stację kolejową i po uzyskaniu informacji udali się w tamtym kierunku. Lubartowski dworzec kolejowy znajduje się w odległości około półtora kilometra od centrum miasta. W tamtym okresie biegnąca ku stacji ul. Lubelska zabudowana była parterowymi domami, pomiędzy którymi zdarzały się szerokie pola pól żyta lub kartofli. Sam dworzec wraz z otaczającymi go zabudowaniami kolejarskimi oraz rodzajem parku, w którym stały domy mieszkalne pracowników kolei, stanowiły jakby osobną „wyspę” na dalekim obrzeżu miasta. Na wysokości dworca odchodzi od ul. Lubelskiej w jego kierunku ul. Kolejowa. Ale wówczas można było także iść z ul. Lubelskiej „na skróty”, skręcając około dwustu metrów przed ul. Kolejową w prawo, na wydeptana wśród łąnów zboża wąską, biegnącą ukosem ku stacji, ścieżkę. Tędy właśnie skierował się kilkusobowy patrol z 27 Dywizji, mając za sobą w pewnej odległości dalszą grupę żołnierzy w liczbie nie więcej chyba niż jednego plutonu.

Skręcając na ścieżkę, żołnierze wysłali w charakterze zwiadowców trzech miejscowych chłopców w wieku około dziesięciu lat, którzy towarzyszyli im od centrum miasta. Mieli oni rozejrzeć się, czy stacja jest już wolna od Niemców? Jakoż istotnie po peronie i w budynku dworcowym kręcili się już tylko polscy kolejarze. Natomiast na placyku przed stacją siedziało na wozie taborowym kilku niemieckich żołnierzy; ostatni, jacy ciągnęli tedy od strony Lublina. W cieniu drzew szukali wytchnienia.

Na odgłos pierwszych strzałów nadciągających od miasta żołnierze 27 Dywizji Niemcy natychmiast rzucili się do ucieczki. Podczas kilkuminutowej bezładnej strzelaniny, jaka wywiązała się wówczas na dworcu, którego otoczenie penetrowali partyzanci w poszukiwaniu dalszych Niemców, wjechał na peron od strony Parczewa wojskowy pociąg ze sprzętem sanitarnym, kierujący się na Lublin. Połyszawszy strzelaninę, maszynista zahamował i włączywszy wsteczny bieg, zaczął wycofywać pociąg. Dotychczas parowóz pchał przed sobą cały kilkunastowagonowy skład pociągu; obecnie, wycofując się, znajdował się on na samym przodzie. Tuż za parowozem przyczepiony był wagon osobowy trzeciej

klasy, starego typu, z drzwiami z zewnątrz do każdego przedziału. A dalej na zmianę: odkryte lory (na których stały samochody ciężarowe i sanitarne lub „sanitarki” o ciągu konnym) oraz typowe kryte wagony towarowe. Skład ten wiozł prawdopodobnie niemiecką kompanie sanitarną wraz z oddziałem ochrony. Tak więc pociąg umknął, ale nie na długo.

Tor kolejowy biegnący od stacji Lubartów w kierunku Parczewa (a dalej: Łukowa i Siedlec) opasuje miasto szerokim łukiem. W odległości półtora kilometra od stacji, po przecięciu szosy (ul. Lipowa) wiodącej w stronę Kozłówki, Kamionki i Michowa (znajduje się w tym miejscu strzeżony przejazd kolejowy), tor skraca łagodnie w prawo, wchodząc w rozszerzającą się coraz bardziej płytką dolinę o dość stromych zboczach, nazywaną przez tutaj mieszkających „Karierą”.

Właśnie u wejścia w „Karierę”, kilkadziesiąt metrów za przejazdem kolejowym, pociąg został przechwycony przez inne oddziały 27 Dywizji i miejscowy pluton AK. Nadciągnął szybko zmierzch; na niebie nad miastem pełno było różnokolorowych tras pocisków zapalających; wzrastał się grzechot serii broni maszynowej. Walka o pociąg miała trwać do późnej nocy...

Opowiadano potem, że maszyniście udało się odczepić parowóz i odjechać w stronę Parczewa. Mówiono też, że w ciemnościach nocy wycofujący się Niemcy usiłovali sprowadzić z niektórych lor samochody, układając wysokie pomosty ze snopów świeżo skoszonego zboża.

Podczas walki zginął jeden z partyzantów 27 Dywizji, mieszkaniec Kowala. Pochowano go na miejscowym cmentarzu, na skraju kwatery żołnierzy poległych w 1939 r., niedaleko studni. Drugi Żołnierz był ciężko ranny. A pociąg, coraz bardziej оголачany z przewożonych nim wojskowych dóbr, stał jeszcze kilka dni na torze. Dopóki - już po przejściu frontu - nie przysłano po niego parowozu.

#### Pierwszy dzień wolności

Od wczesnego niedzielnego ranka 23 lipca 1944 r. Lubartów już pełną piersią oddychał wolnością. Żołnierze AK wylapywali ostatnich niemieckich maruderów. Pluton ppor. „Lekarza” wziął do niewoli osiemnastu Niemców. Wchodziły następne oddziały 27 Dywizji...

*O godz. 9.00 - czytamy w kolejnym meldunku dziennym dotyczącym realizacji planu. „Burza” - przybył do miasta pierwszy czołg sowiecki, który nawiązał kontakt z dowództwem 27 dp i z miejscowym obwodem AK. O godz. 10.00 wmaszerował do Lubartowa pluton por. Igi z Firleja (Jerzego Domaradzkiego - przyp. MD) i zakwaterował w szkole. Kiedy już Lubartów całkowicie był wolny od okupanta, o koło godziny 12.00 weszły oddziały AL wraz z oddziałem sowieckim. W tym czasie WSA [Wojskowa Służba Apropowizacyjna - przyp. MD] zorganizowała posiłki, które wydano oddziałom własnym, sowieckim i AL. O godz. 14.00 d-ca*

*AL płk. Korczyński żąda od d-cy 27 dp opuszczenia miasta przez oddział AK, na co d-ca 27 dp oświadczył, że opuszczenie miasta jest zgodne wł. oddziałów [tak w tekście - przyp. MD] i o godz. 16.00 Lubartów opuszczono i zakwaterowano w m. Nowy Dwór.*

Michał Fijałka przedstawia w swojej książce te wydarzenia trochę inaczej:

*Okolo godz. 10.30 do miasta wjechał czołg sowiecki z oficerem. Doszło do spotkania z por, „Bratkiem”, kpt. „Hrubym” i kpt. „Rokiczem”.*

Gdy oficer radziecki odjechał, pojawił się ze swoim sztabem płk. „Grzegorz” Korczyński, który rozkazał „Rokiczowi”, aby oddziały AK natychmiast opuściły Lubartów. Podobna scena powtórzyła się raz jeszcze w jakiś czas później, gdy Korczyński pojawił się w budynku szkolnym ponownie; doszło wówczas do spotkania oraz wymiany zdań z przybyłym już do Lubartowa dowódcą 27 Dywizji AK płk. „Twardym” (Janem Kotowiczem).

*„Twardy” spokojnie odpowiedział – pisze Fijałka - że zna swoje zadania, które nakazują mu bić uciekających Niemców, i że Lubartów opuści wtedy, gdy uzna to za stosowne. Płk Korczyński był zupełnie odmiennego zdania.*

Ostatecznie jednak, po południu 23 lipca oddziały 27 Dywizji zaczęły opuszczać Lubartów. Oddział za oddziałem, w szyku czwórkowym maszerował ulicą Lubelską, potem przez Rynek. A dalej obok miejskiego szpitala kompanie skręcały w lewo, w ulicę Lipową, kierując się w stronę Kozłówki i Kamionki. I śpiewając:

*Marsz, marsz Polonia,*

*Ty dzielny narodzie -*

*Odpochniemy po swej pracy*

*W ojczyściej zagrodzie...*

### Rozbrojenie

Kamionka była dla batalionu „Jastrzębia” ostatnim miejscem postoju. Leon Karłowicz wspomina, że tam właśnie 25 lipca 1944 r. otrzymał wraz z innymi żołnierzami rozkaz przygotowania broni i umundurowania „do defilady”. Która - jak mówiono w oddziale - ma się odbyć w niedalekim Skrobowie, miejscowości położonej przy szosie Kamionka - Lubartów. Niestety, była to wieść bez pokrycia. Wkrótce miał nastąpić tragiczny finał historii 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej; została ona rozbrojona i uległa rozwiązaniu.

Fakt ten miał miejsce nocą z 25 na 26 lipca i był kompletnym zaskoczeniem dla czterech i pół tysiąca żołnierzy 27 Dywizji, którzy spodziewali się, że wkrótce wyruszą do dalszej walki.

Były to tragiczne godziny dla pułkownika „Twardego”, równie ciężkie i niełatwe zapewne dla radzieckiego generała majora Bokanowa, który musiał mu te ostateczną decyzję swoich władz wojskowych zakomunikować.

Komentując ów dramatyczny fakt, Piotr Stachiewicz tak pisał w 1986 r. w swym „Wprowadzeniu” do książki Michała Fijałki „27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK”:

*26 lipca 1944 r. po 191 dniach ciężkich walk 27 Dywizja Piechoty Armii Krajowej została rozkazem dowództwa rozwiązana. Cześć jej żołnierzy została uwięziona głównie w więzieniu na Zamku w Lublinie w związku z deklaracją Marszałka J. Stalina, według której władze radzieckie nie tolerowały obecności żadnych oddziałów zbrojnych na zapleczu frontu wschodniego. Generalnie należy stwierdzić, że całokształt sytuacji na tych i analogicznych terenach miał swoje źródło w braku ustalenia stosunków politycznych i dyplomatycznych pomiędzy rządem Polskim w Londynie i rządem Związku Radzieckiego. Wszystko to spowodowało, że nie istniała wspólna platforma, na której można by było rozwiązywać wszelkie sprawy sporne i poszukiwać możliwości porozumienia.*

Tak to wszystko wygląda z perspektywy lat ponad czterdziestu. Ale wówczas?!

Starszy strzelec Leon Karłowicz, stojąc wraz z kolegami w szeregu przy drodze wiodącej do Skrobowa i nie mogąc doczekać się zapowiadanej defilady, zobaczył nagle dowódcę batalionu „Jastrzębia”, jak szedł w ich kierunku blady, zmieniony nie do poznania. „Jastrząb” wydał komendę: „Zagiąć skrzydła!” Uformowali się w czworobok. Nastąpiła bardzo długa chwila ciszy. O niczym jeszcze nie wiedzieli, niczego nie rozumieli. Aż wreszcie „Jastrząb” nieswoim głosem powiedział tych kilka zdań: „Kończy się nasza wojna. Mamy zdać broń. Jesteśmy otoczeni. Musimy złożyć broń”. I tyle. Potem „Jastrząb” wyjął grubą paczkę pieniędzy i każdemu żołnierzowi wręczał po pięć dolarów. Na pierwsze potrzeby. Bo już teraz nie będzie za nich „myślała” Dywizja, tylko oni sami będą się musieli nauczyć troszczyć o swój los.

I potem kolejno kompania za kompanią, batalion za batalionem, wchodzili na dziedziniec przed budynkami dawnego „Sejmiku” w Skrobowie. I na rosnąca coraz wyżej stertą broni rzucali także swoją broń, która im dotąd wiernie służyła. A jeszcze później, w jakiejś okropnej, przerażającej, na zawsze zapamiętanej ciszy, ruszyli w kierunku pobliskiego lasu. I tam, w tym lasku, słychać było w nocnej ciemności stłumione łkanie setek mężczyzn... Aż nagle gdzieś z boku doszły ich dziewczęce głosy. To sanitariuszki, łączniczki, dziewczyny z dywizyjnej łączności wyśpiewywały pełną piersią wesołe partyzanckie piosenki. Wielu chciało je uciszyć grubym, żołnierskim słowem. Śpiewać w takiej chwili! Lecz one nie śpiewały z radości. I także nie na przekór rozpaczy. Ale dlatego, aby zagłuszyć warkot ręcznej turbiny dywizyjnej radiostacji, która słała w eter ostatni meldunek.

Rano Dywizja, już bez broni, ale całością sił, pomaszerowała bocznymi lasami, omijając Lubartów, w stronę Lublina. Aż do położonej niedaleko Niemiec miejscowości Stary Tartak, gdzie płk „Twardy” zarządził ostatnią odprawę oficerów. I stąd już wszyscy żołnierze rozeszli się w różne strony świata. Wielu poszło ku Lublinowi. Część skierowała się w stronę Bugu, ku rodzinnemu Wołyniowi.

Leon Karłowicz podążał w stronę Lublina, który znał tylko z nazwy. Nie wiedział wtedy, że zwiąże się z tym miastem i jego niedaleką okolicą na resztę życia. Że skończy w Lublinie gimnazjum dla dorosłych, że zrobi potem studia historii na KUL-u, i że w 1948 r. zacznie pracować (na poleconym mu przez jakiegoś kolegę stanowisku nauczyciela) w Liceum Pszczelarskim w podlubelskiej Pszczelej Woli. Pozostał tam do dzisiaj. Mieszkają w Pszczelej Woli razem z żoną Alicją, z którą poznali się jeszcze we wczesnej młodości na Wołyniu i z którą razem przeszli szlak 27 Dywizji.

W 1984 r. „Środowisko Żołnierzy 27 Dywizji AK” działające przy Zarządzie Głównym ZBoWiD, ogłosiło wśród członków konkurs na wspomnienia partyzanckie. Leon Karłowicz otrzymał pierwszą nagrodę w owym konkursie za swe niezwykle interesujące, a w dodatku pisane bez przemilczeń i retuszy, wspomnienia. Liczący czterysta stron maszynopis – zatytułowany: „Od Zasmok do Skrobowa. Wspomnienia żołnierza z 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK” - leży w szufladzie, czekając na wydawcę. Takiego, który zdecyduje się na opublikowanie go w całości. Nie stroniąc od „białych plam” historii, wypełnionych tutaj ręką Leona Karłowicza.

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 17, s. 6-7, 12-13.